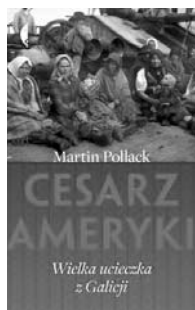


Agenci, analfabeci, Ameryka



Martin Pollack, *Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji*, tłum. Karolina Niedenthal, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011

„Po całym Spiszu kursowali wówczas obcy, którzy dziwowującym się chłopom opowiadali najrozmaitsze cudowne historie z bogatego kontynentu, gdzie złoto leży na ulicy – wystarczy się tylko schylić i zbierać” – zapisał w swojej ostatniej książce Martin Pollack. Zapis ów stanowi punkt, w którym skoncentrowały się zainteresowania austriackiego pisarza: rozbudowany o historyczne i geograficzne tło i osadzony na nim burzliwy nieporządek ludzkich losów rozkrzewia się i umożliwia szersze spojrzenie na *Cesarza Ameryki* – poruszającą opowieść o monsturalnej nędzy i ogromnych nadziejach.

„Obcy”, czyli emigracyjni agenci na usługach znanych całemu ówczesnemu światu przewoźników oceanicznych: HAPAG, Lloyd i Cunard Steamship Company z Liverpoolu. „Wówczas”, czyli głównie w ostatnim dwudziestoleciu XIX wieku, „bogaty kontynent” to przede wszystkim Stany Zjednoczone, ale też Kanada czy Brazylia, „dziwujący się chłopci” to niewyobrażalnie zubożałe masy analfabetów, rokrocznie dziesiątkowane przez cholera i głód; w końcu „złoto” – symbol wolności i lepszego życia za oceanem, oraz „Spisz” – część Galicji, z której wtedy jak długa i szeroka: od Tarnopola, przez Stanisławów, Lwów, Przemyśl, Krosno, Sanok, aż po Kraków, potężne masy poddanych Franciszka Józefa I wyruszyły w transatlantycką podróż do ziemi obiecanej, owładnięte zarówno pragnieniem poprawy swojej sytuacji materialnej, jak i gnane lękiem przed śmiercią głodową.

Pollack podaje precyzyjne szacunki emigracji: „w 1888 roku z Europy do Stanów Zjednoczonych wyjeżdża prawie pięćset czterdzieści tysięcy ludzi. Prym wiodą Niemcy, skąd pochodzi sto dziesięć tysięcy przybyszów, następne są Anglia, Szkocja, Szwecja, Włochy, a dopiero na szóstym miejscu, z okrągłą sumą czterdziestu sześciu tysięcy ludzi, plasują się Austro-Węgry”. Należy uwzględnić, że przywołane obliczenia dotyczą zaledwie jednego roku, co w odniesieniu do dość stabilnej wtedy sytuacji politycznej w Europie jest niewątpliwie ogromną liczbą.

„Szóste miejsce”, które przypadło Galicji, wydaje się tylko na pozór odległe. W rzeczywistości ma tragiczną wymowę, bowiem, jak podaje austriacki reportażysta za Iwanem Franką: „według ostrożnych obliczeń każdego roku na skutek choroby głodowej umiera w Galicji co najmniej

pięćdziesiąt tysięcy osób". Nędza, której przykłady podane w książce Pollacka kładą się na mapie cywilizacji cieniem równym najokrutniejszym wydarzeniom w historii ludzkości, wypędzała Rusinów, Polaków, Słowaków, Węgrów z terenów przez rząd w Wiedniu traktowanych po macoszemu: jako rynek zbytu dla marnych wyrobów przemysłowych oraz geograficzne potwierdzenie dominacji habsburskiego imperium.

Uchodźcy przybywali ze wsi, gdzie „często na całą liczną rodzinę przypada jeden jedyny kozuch, zimą z domu na dłużej może wyjść tylko jedna osoba”, emigrowali z zapadłych miasteczek, gdzie zamiast chodzić po bruku, brodziło się po kostki w cuchnącym błocie. A Wiedeń? Wiedeń w owym czasie był stolicą światowej muzyki.

Ze stacji granicznej Myslowitz, należącej wtedy do Prus, łatwo było dojechać pociągiem do Berlina, a potem do wielkich portów atlantyckich: Bremy albo Hamburga. Jednak najpierw chłopci zdeperowani do odbycia tej „transatlantycznej” podróży – koleją, na furmankach, najubożsi szli pieszo – musieli dotrzeć do Oświęcimia, gdzie mieściły się siedziby agencji emigracyjnych. Ręce agentów były sumienne i bezlitosne. Rekrutowali się głównie spośród Żydów, co dodatkowo podsyciło nastroje antysemickie na terenach Galicji, chociaż, jak zapisał Pollack: „perspektywa szybkich pieniędzy pociąga również polskich i ukraińskich chłopów, skrybów, proboszczów, popów, a nawet żandarmów i wyższych urzędników”. Dostarczając pasażerów atlantyckim liniom, nie mieli żadnych skrupułów, swoich klientów traktując „niczym bydło, zaganiając ich tam, gdzie będzie większy

profit”. Za każdego pasażera przekazanego kompaniom morskim obiecywano im około 5 guldenów (dla porównania: rejs z Hamburga do Nowego Jorku kosztował nieco ponad 60 guldenów) i widocznie była to kwota zbyt mała, skoro do swojej prowizji postanowili dorobić na wszelkie nikiemne sposoby.

Lektura *Cesarza Ameryki* na metody pracy agentów rzuca światło tak szpetne, że podobnej im działalności można by doszukiwać się chyba jedynie w obłędzie Conradowskiego Kurtza z *Jądra ciemności*. To agenci skonstruowali misterną sieć przerzutu „żywego towaru”, wplatając w nią żandarmów, kolejarzy i urzędników. To agenci, którym „anglo-kontynentalne biuro podróży z Rotterdamu oferuje za dwóch pierwszych zwerbowanych emigrantów „piękny srebrny zegarek”, wysyłają pomocników z pałkami wyłapujących pasażerów na oświęcimskim dworcu, niejednokrotnie na chybił trafił, wskutek czego część schwytanych tam ofiar została wyekspediowana do Ameryki wbrew własnej woli (!), choć naturalnie za swoje pieniądze.

Agenci „lekarze” przed odprawą „badają” emigrantów, sprawdzając, czy nie ukryli w ubraniu oszczędności, które od razu konfiskują, agenci aprowizatorzy sprzedają w sklepach przedmioty rzekomo niezbędne w podróży za ocean, głównie tandetne garnitury i blaszane menażki, oczywiście po zawyżonych cenach, w końcu, jeśli trzeba, agenci osobiście fatygują się na zacofane galicyjskie wsie, gdzie epatując elegancją stroju i biżuterii, występują w roli aniołów nadziei, pokazując zabiedzonym chłopom obrazki z upragnionej Ameryki: „Na jednym z obrazków widać port w jakimś dużym mieście, dokąd zawijają statki z Europy. W tle

rysują się wielkie domy, a na pierwszym planie wyrasta z wody wysoka na kilka pięter, olbrzymia postać kobiety, na głowie ma koronę z promieni, a w wyciągniętej ku niebu ręce – pochodnię. To święta Maria, matka Boża i królowa Polski, opowiadają łatwowiernym chłopom agenci, wita w ten sposób swych ukochanych Polaków”.

„Większość chętnych do wyjazdu to analfabeci” – stwierdza Pollack i to nie w perfidii agentów, ignorancji dalekiego Wiednia, bezkompromisowej chciwości Lloyd’a i Cunarda, ale w owym lapidarnym stwierdzeniu wydają się tkwić dwie główne przyczyny emigracji: niewiedza i bieda. Obydwie, zwłaszcza w połączeniu, wydają na świat potwory: naiwność, stereotypy, nienawiść wobec ludzi odmiennych wyznań, tu: szczególnie Żydów.

Martin Pollack nie napisał jednak tej wstrząsającej książki dla Polaków, Słowaków, Węgrów czy Żydów, lecz przede wszystkim napisał ją dla świata. Duże słowo, więc warto się z niego krótko wytłumaczyć. Pollack poruszył zjawisko w polskiej historii absolutnie wyjątkowe, ale przeważnie pomijane, i przybliżył je w rzeczowym, lecz barwnym stylu, co nie uprawnia do zatrzymywania się przed stwierdzeniem, że emigracja zarobkowa jest współcześnie równie poważnym problemem, a jej powody w dzisiejszym, jak niektórzy mawiają, McŚwiecie, są nierzadko identyczne jak w bezpowrotnie minionym habsburskim CK-Świecie.

Nie zmienia tego nawet fakt, że przedsiębiorstwa oceaniczne Lloyd z Bremy i Hapag z Hamburga, tak żarliwie wysyłające przeciwko sobie agentów, od 1970 roku pływają pod wspólną banderą Hapag-Lloyd.

Roman Honet

